

Co jakiś czas internety podtykają mi poniższe zdjęcie

Ma ono, zdaje się, obrazować kulturalny upadek człowieczego rodu, zwłaszcza zaś jego młodzieńczych egzemplarzy, które, miast sycić się kontaktem z arcydziełami, jak to drzewiej bywało, nim szatański wynalazek internetu i jego nośników wkradł się między synów i córę ludzkie, wolą grzebać w smartfonach.

Jeśli taka ma być wymowa fotografii, to jest to, moim skromnym zdaniem, wymowa cokolwiek naciągana.

Idzie po linii typowej dla ramoli gderliwości typu: kiedyś, panie, to były inne czasy, inne ludzie...

Primo, nie można wykluczyć, że widoczne tu małolactwo zdążyło już się na ten „Wymarsz strzelców” Rembrandta napatrzeć, a uchwycone zostało zdradliwie przez kustosa w momencie postkontemplacyjnym, gdy, jak większość ludzi współczesnych, w wolnej chwili sięga po smartfon.

Secundo, nawet jeśli pacholęta faktycznie olały Rembrandta, jeśli każdej chwili *online* żal im było Rembrandtowi poświęcić, to aż tak od nas, matuzaleków, odlegli kulturalnie oni nie są. Jakość tworzywa, z którego i nas, i ich ulepiono, nie taka znowu odmienna.

Nie wykluczam, że ktoś czule przechowuje w pamięci wspomnienia ze szkolnych lat, gdy wraz koleżankami i kolegami prowadzany był do muzeum, gdzie młodź z nabożeństwem, wypiekami na twarzach i pałającym wzrokiem chłonęła dzieła pędzla czy dłuta. Wracając już z wycieczki, długo i namiętnie rozprawiała o widzianych kompozycjach, kolorystyce, światłocieniach, perspektywie, diagonalizmach czy też horyzontalizmach i ekspresji całości, zaś w nocy nie mogła usnąć i przewracała się z boku na bok - tak była poruszona zatknięciem z artystycznymi porywami ludzkiego ducha.

Nie wykuczam, powiadam, że ktoś do takiej uduchowionej klasy młodocianych koneserów uczęszczał.

Ja takiego pecha nie miałem, uczęszczałem do zupełnie normalnej klasy.

Owszem, mieliśmy belfrów, którzy czynili nadludzkie, straceńcze starania, by nas, że użyję modnego ostatnio określenia, Hunów, ucywilizować, ociosać, wygładzić, chociaż z wierzchu posrebrzyć i nadać naszym nieokrzesanym osobowościom przynajmniej pozór kulturalnego wysublimowania. Była to nieraz wręcz dramatyczna w swej jałowości orka na ugorze. Pedagogiczny zapal kruszył się i rozpadał z łoskotem, napotykał twarde opór uczniowskiej materii.

Atrakcyjność tego rodzaju kulturalnych wypadów z naszej perspektywy sprowadzała się właściwie do tego, że nie trzeba było siedzieć w budzie i dogorywać na lekcjach.

Swój niezaprzeczalny urok miał też tzw. czas wolny, kiedy, odbębniwszy już część kulturalno-oświatową, można było dać długą w miasto i pohasać na nowym terenie. Wolor urozmaicenia szkolnego mozołu niewątpliwie był tym eskapadom dany.

Samo zaś zwiedzanie trzeba było jakoś przetrwać. Nie mieliśmy smartfonów, więc podszczyptywaliśmy koleżanki (tak, jak najbardziej - brodniczko molestowaliśmy, według współczesnej wykładni), podstawialiśmy sobie nogi w nadziei, że ktoś rymsnie, wyłoży się na jakiś eksponat i będzie drażnić. Raz podczas wycieczki do Golubia-Dobrzynia kolega Zyzek usiłował wzorem Kmicica zagwoździć działo... Rozmaicie czas zabijaliśmy.

Wiem, że nikt by mnie o to nie posądzał, ale wbrew oczekiwaniom własnym tudzież bliższego i dalszego otoczenia dożywszy starości, lubię sobie pójść do muzeum, na wystawę czy do teatru. Nie potrafię jednak doszukać się w tej mnie samego zaskakującej skłonności influencji odbywanych w zamierzonych czasach młodości wycieczek do przybytków Muz. Z czasem to przyszło.

Nie występuję tu - Boże uchojaj! - gremialnie przeciwko organizowaniu szkolnych wycieczek do muzeów. Uważam jedynie, że należy miarkować oczekiwania z nimi związane. Jeśli u jednego choćby wycieczkowicza coś tam po takiej wyprawie na dnie duszy osiadzie, jeśli w jednym choćby delikwencie jakieś artystyczne zainteresowania obudzi, jeśli choćby u jednego jakąś wrażliwszą strunę poruszy - już jest sukces.

Nie oczekiwałam natomiast, że młodzi ludzie *en masse* będą się modlić do obrazów, a już na pewno nie żywiłbym złudzeń, że gdyby nie uzależnienie od smartfonów, toby sztukę łyżkami jedli.

Usiłuję sobie właśnie przypomnieć, czy coś z naszych klasowych wycieczek szczególnie utkwiło mi w pamięci, jakieś artystyczne doznanie, wzruszenie, wstrząs?

Tak. Było coś takiego.

Było coś takiego podczas wycieczki do Łańcuta, bodaj w czerwcu roku od Narodzin Chrystusa tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego.

Oprowadzano nas po zamku hrabiów Potockich, a po oprowadzeniu wylegliśmy do zamkowych ogrodów. Świeciło słońce. Zakończenie roku szkolnego i wakacje były przed nami. Życie było przed nami. Pachniało.

A koło parkowej fontanny stała koleżanka Magda K. Magda K. już w zwykłych okolicznościach przyrody budziła zachwyty graniczące z pomieszaniem zmysłów nabuzowanych hormonami kolegów, a w tamten czerwcowy dzień, w łańcuckich ogrodach, w zwiewnej białej sukience, która prześwitywała pod czerwcowe słońce, ledwo osłaniając to arcydzieło natury - zupełnie już rzucała na kolana.

Stała tak tedy w swojej białej zwiewnej sukience, drobinki wody tryskające z fontanny osiadały na jej brzoskwiniowej skórze i na włosach, a pozostałe, mieniając się w promieniach, tworzyły wokół niej magiczną aurę.

Oniemiały i urzeczony wpatrywałem się w ten cud.

Teraz, jak to sobie to zjawisko odświeżam w pamięci, to żałuję. Nawet bardzo żałuję, że w tamten czerwcowy dzień ludzkość była jeszcze na etapie presmarfonowym. Gdybym miał wówczas smartfona, mógłbym po niego sięgnąć i uwiecznić tę łańcucką epifanię.